

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

12

Powieść.

Wstrzymał się nagle.

— Lecz w takim razie należałoby przypuścić, że doktor Jintot jest winowajcą... a tego w rzeczy samej dowieść nie podobna.

— Tak, tak! — mówił sędzia tonem drwiącym. — Według teorii pańskiej, doktor i jego pacjent pozabijali się wzajemnie!... Dla mnie niema ona najmniejszego znaczenia... Sekcyja dowiodła, że wprost materyalnie było niemożliwem, aby doktor śmiertelnie zraniony sztyletem w gardło, mógł mieć jeszcze dostateczną siłę do uduszenia Emanuela Laborda!

Sempuis zwrócił się nagle twarzą ku sędziemu i rzekł głuchym głosem:

— To też i ja obecnie nie upieram się przy mojem dawnem przekonaniu. Z początku tak myślałem, lecz następnie dowiedziałem się o faktach, które świadczą, że zbrodnia spełniona została istotnie...

Sędzia zawołał żwawo:

— Ach! i pan się na to zgadzasz nareszcie!... Tak! popełniono zbrodnię!... Lecz kto ją popełnił, jeśli nie pan, ani twój towarzysz Berthaut, ani doktor Jintot?... Kto ją popełnił?... Powiedz! No, powiedz-że, proszę!

Sempuis odparł z mocą:

— Doktora Jintota oskarżać nie chcę, bo nie wiem o nim nic, coby mogło mieć stanowcze znaczenie, lecz nie gwarantowałbym również, że jest niewinnym. Co do nas dwóch, przysięgam, że Berthaut i ja nie jesteśmy winowajcami!... Winowajcę głównego... jeśli nie jedynego... posadzaliście od razu... lecz łyzy pięknej kobiety was oślepiły...

Sędzia nie zwrócił teraz uwagi na brak uszanowania w słowach, wymówionych przez starego żołnierza, lecz z gorączkową ciekawością zapytał:

— O kim pan mówisz? Jeśli o kochanku pani Manescault, to jesteś w błędzie...

— Nie o nim... lecz o jej bracie...

— Marceli Robertin! — krzyknęli równocześnie sędzia i dwaj urzędnicy policyjni.

Pomimo tonu powątpiewania, który brzmiał w ich głosach, wszyscy trzej w głębi duszy nie odrzucali bezwzględnie prawdopodobieństwa tego oskarżenia. Zachowanie się brata doktorowej wydawało się im nieraz dwuznaczne, a jego przeszłość — badana tajemnie bardzo ściśle — posiadała skazy, upoważniające do podejrzeń.

Pomimo to Deverrier rzekł tonem surowym:

— Nie wystarczy dla pozbycia się oskarżenia, przetrzącać je na kogo innego, zwłaszcza, jeśli się nie dostarcza dowodów.

Sempuis poruszył głową.

— Proszę być pewnym, że nie mówiłbym tego, co mówię, gdybym nie miał dowodów. Przecież, chociaż je mam od pewnego czasu, nie pisałem o nich dotąd ani słówka...

— Dlaczego?

— Bo denuncyacje, to nie moja rzecz!... Policyja powinna znaleźć winowajcę... Tylko obecnie jestem w mojem prawie, bo sam obwiniony, bronić się muszę...

— W takim razie mów pan!

Sempuis spojrzał sędziemu prosto w oczy i rzekł spokojnie:

— Proszę słuchać!

Poczem głosem cichym, lecz pewnym, zaczął opowiadanie, wynik którego pozna czytelnik następnie w dalszym ciągu historii.

ROZDZIAŁ IX.

W domku leśniczego.

Zbliżała się noc.

Zmrok szybko zapadał w pośród lasu, zaciemniając widnokrąg. Ludwika Sempuis, w zajmowanym przez siebie pokoju na piętrze w domku leśniczego, odrzuciła precz od siebie, jak mogła najdalej, stare, zmięte i zbrukane dzienniki, których już czytać nie mogła przy niknącem świetle. Po dziesiąty raz może zapoznawała się z treścią ponurego dramatu kolonialnego, w którym mąż jej, Mikołaj Sempuis, odgrywał rolę główną. W pierwszej chwili, po znalezieniu w walizce akcyj, należących do Emanuela Laborda, nie zauważyła tych starych gazet i pozostawiła je w szafie, myśląc, że służyły tylko do owinięcia pliki papierów wartościowych. Znalazła

je później, przypadkiem, po widzeniu się z Juliuszem Varin i doreczeniu mu walizki, po którą przyszedł z polecenia komisarza Guillaume'a. Dziwaczne tytuły dzienników, wydawanych w Indo-Chinach, zwróciły na siebie jej uwagę.

Zaledwie przeglądać je zaczęła, poraził jej wzrok portret Mikołaja i umieszczone pod nim jego nazwisko. Wstrząśnięta do głębi nagłem odkryciem, przeczytała pospiesznie jeden artykuł po drugim, czując jak krew w jej żyłach mrozi przejmujące zimno, napełniając duszę przerażeniem i wstrętem. Przekonaną była, że Mikołaj popełnił podwójne morderstwo w zakładzie dla obłąkanych, lecz poznanie jego dawnej zbrodni wzbudziło w niej dla niego stokroć głębszą odrazę i nienawiść.

Zabił kobietę, którą kochał!... Swojami zbrojnymi rękami udusił istotę słabą, ufającą mu, pozbawioną obrony, nie mogącą, w walce z nim, przeciwstawić równej siły jego ohydnu okrucieństwu.

Drżała całym ciałem na wspomnienie o nocach, w ciągu których, jakby na wylot przeszyta okropnem przeczuciem, trzęsła się ze strachu, leżąc przy uśpionym, spoczywającym obok niej mężu... Ileż to razy budziła się niespodzianie, wyobrażając sobie, że go widzi groźnego, dzikiego, wyrzucającego jej niewierność, zrywającego się z łóżka i dławiącego ją kościstymi palcami!

Po stokroć razy roiła, pełna trwogi, że ją zabije!... A myśl, że ją udusi, nawiedzała ją ciągle! W tej chwili nawet, w zapadającej ciemności, zdawała się dostrzegać pochylonego człowieka o srogim obliczu, z rękami zaciskającymi się około szyi kobieciej...

Czyje?... Może tamtej... a może jej własnej...

Lekki szmer wstrząsnął nią od stóp do głowy, napełniając serce nową, nagłą obawą.

— Kto tam? — spytała drżącym głosem.

Nikt nie odpowiedział.

Potykać się co krok, podbiegać do stołu. Macając po nim niezgrabnie rękami, znalazła zapalnik i zapaliła lampę. Lecz błady płomień małej lampki nie uspokoił jej wcale. Zdawało się, że zewnętrzne ciemności zwiększyły się jeszcze, a słabe światelko nie mogło rozproszyć ciężko i powoli snujących się pod ścianami mar, wytworzonych w halucynacyjnym obłądnie, przez rozgorączkowaną jej wyobraźnię.

Przystąpiła do drzwi z zamiarem zejścia na dół, gdzie sądziła, że znajdzie przynajmniej żonę leśniczego... Nie lubiła towarzystwa tej kobiety mało-mównej i wiecznie nadąsanej, lecz tym razem wszystko zdawało się jej lepszym i miłszym od samotności... Chciała podnieść klamkę... lecz uczuła opór.

Co to znaczy?... Czyżby ją zamknięto?... To przecież niemożliwe! Raz jeszcze spróbowała, lecz znowu na próżno... Odsunęła się więc zalekniona. Zrozumiała, że jakaś ręka za drzwiami przytrzymuje klamkę.

Błada jak trup, okropnie przerażona, cofała się i cofała aż w głąb pokoju. Zwiększone strachem oczy zwróciła na drzwi, które — ona to wiedziała — otworzą się za chwilę, a w nich się ukaze widmo, którego obawiała się najbardziej.

Mijały sekundy niewypowiedzianego niepokoju. Ludwika, plecami oparta o ścianę, słyszała bicie własnego serca w piersi i czuła, jak jej lodowacieją ręce i ramiona...

Nagle jęła z cicha...

Posłyszała jakiś zgrzyt... jakieś skrzypnięcie...

I powoli... powoli... drzwi się odchyliły nieco...

Ktoś miał wejść do pokoju...

Wrzasnęła nieludzkim krzykiem:

— Proszę nie wchodzić!

W obramieniu drzwi, już teraz na rozcień otwartych, ukazał się on!

Mikołaj Sempuis, chmurny i pełen niepokoju, zaledwie oświetlony słabym blaskiem lampy, stał nieruchomy na progu, szukając żony błędnym wzrokiem.

Dostrzegł ją nareszcie w jej zaleknionej postawie i postąpił ku niej krok naprzód.

— Ludwiko! szepnął błagalnie.

Ona z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby się niemi bronić i zastonić chciała, krzyknęła zdławionym głosem:

— Nie przybliżaj się do mnie!

Jego, jakby febra zatrzęsała... Opuścił głowę na piersi.

Zrozumiał, że wie.

Wówczas zgięty się pod nim kolana, upadł na podłogę i pokonany, jęknął boleśnie:

— Moja Ludwiko, przebac mi!... Ja ciebie tak bardzo kocham!... Nie lękaj się mnie, błagam!... Przeszłość już tak bardzo od nas daleka... Obecnie jestem człowiekiem starym, złamanym, skończonym... i widzisz, do nóg ci się ścielę!... Och! Nie obawiaj się mnie już teraz... Pozwól mi zbliżyć się do siebie

i pomówić... Wyznam ci wszystko szczerze, opowiem ci moje życie... Nie będę mieć dla ciebie żadnej tajemnicy, a wtedy prawdopodobnie pozyskam twoją życzliwość. Przysięgam, że błdziłem, zachowując ciągle milczenie i ukrywając myśli moje przed tobą... Byłem waryatem, bo nie chciałem zrozumieć, że się mnie lękasz... A przytem narzucałem ci moją wolę... Teraz ty rozkazywać będziesz. Przysięgam ci, że obecnie pragnę być twoim niewolnikiem. Uczynię wszystko, co zechcesz, bylebyś jeszcze kochać mnie mogła... bylebym cię ujrzał w moich objęciach...

Przerażenie Ludwika zmniejszało się i nikło powoli. Głos Mikołaja, jego rzeczywista postać niszczyła wrażenie wizji nadprzyrodzonych, które przed chwilą przejmowały ją dreszczem. Ten żaloszny a słodki zarazem mowy tego człowieka, oraz jego nadzwyczajna pokora — znała zaś go dotąd tylko jako grubianina i despotę — pozbawiała ją trwogi, którą pojawienie się Mikołaja wywołało. Krew na nowo zaczęła krążyć w jej żyłach. Odsunęła się od ściany i postąpiła parę kroków naprzód.

— Wejź! — rzekła nareszcie prawie pewnym głosem. — Mamy pomówić z sobą, Mikołaju!

Stary żołnierz zerwał się na równe nogi, zamknął drzwi z pośpiechem i chciał się zbliżyć do Ludwika.

— Przebaczasz mi? — rzekł upojony szczęściem.

Zatrzymała go na miejscu gwałtownem skiniem ręki.

— Nie przybliżaj się do mnie!... Nie dotykaj się mnie!... Boję się rąk twoich!... Czy to rozumiesz?

Stanął, jakby przygwożdżony do podłogi.

— Czy... rozumiem! — szepnął znękany.

Młoda kobieta, osłabiona wzruszeniem, upadła na jedno z krzeseł. Oparłszy się łokciami na stole, ukryła twarz w dłonie i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

On pytał:

— Płaczesz?... Czy uważasz się nademną i mojem nieszczęściem?... Czy nad sobą, Ludwiko?

Odpowiedziała głosem urywanym, pełnym gniewnej goryczy:

— Ma się rozumieć, że płaczę nad sobą! Dla ciebie nie mam litości!... Jesteś nędznikiem!... Zabójca musi być wyjęty z pod prawa, nie należy do świata; nie powinien zbliżać się do swoich bliźnich!... Nie wolno ci było przywłaszczać sobie takiej jak ja biednej dziewczyny... Byłeś stary, kochać cię nie mogłam... Lecz ty mogłeś wzbudzić we mnie, jeśli nie miłość, to przynajmniej przywiązanie, wdzięczność, szacunek... Zamiast być dla mnie ojcem i przyjacielem, stałeś się moim panem, złym i podejrzliwym, zupełnie mi obcym... którego się lękałam. Ach! nie znałam twojej tajemnicy, lecz, chociaż niejasno, jednakże odgadywałam ją poniekąd, bo zawsze... czy słyszysz?... zawsze budziłeś we mnie wstręt i odrazę...

On jęczał, zaciskając pięści z rozpaczą.

— Milcz, Ludwiko!... milcz!... Nie pojmujesz, jaką mi boleść sprawiasz?

— Nie! milczeć nie będę! Zbyt długo milczałam, zbyt długo wobec ciebie zamykałam usta!... Teraz wypowiem wszystko, co mi leży na sercu!... Nienawidzę cię i pogardzam tobą... Jesteś mordercą!... Cieszę się jedną myślą tylko, że wkrótce przyjdą tu żandarmi i w oczach moich pochwyć cię i uprowadzą!

Ex żołnierz wyprostował się, wznosił głowę do góry — a wydawał się teraz, pod niskim pułapem, istnym olbrzymem — i krzyknął z oburzeniem:

— Ach, hultajko! więc to ty mnie zadenuncyowałeś?

Ona także zerwała się z krzesła i wyprostowała swoją wątłą postać, śmiało stawiała mu czoło, krzycząc wyzywającym tonem:

— Tak! Ja cię zadenuncyowałam!... Tak! Ja to, co skradłeś, wydobyłam z ukrycia!... Ja skradzione przez ciebie pieniądze posłałam twoim sądom!... Ponieważ morderstwo, spełnione przez ciebie tam, nie zostało ukarane, ja tu pomszczę biedną, uduszoną przez ciebie kobietę! Bo tym razem nareszcie musisz odpokutować za popełnione zbrodnie!

On, pobladły i oszołomiony falą słów, pełnych nienawiści, które mu pluła w oczy, cofnął się w tył nieco.

— Waryatko! — krzyknął z rozpaczą. — Oskarżyłaś mnie o zbrodnię, której nie popełniłem. W błąd wprowadziłaś sędziów... Jestem niewinny!... Czy ty to rozumiesz?

Wybuchnęła szyderczym śmiechem.

— Daj pokój!... Nie mnie mów o tem!... W krwi swojej nosisz zarodki zbrodni! a popełniona niedawno, nie będzie ostatnią!... O! jak ja dobrze znam twoje zrozmienia!... Wiedziałaś, że cię nie